ną", na bezkarne pokazywanie Tuskowi żółtej kartki. W efekcie Kaczyński mógłby trzymać Platformę w długotrwałym, niekomfortowym stanie deficytu poparcia w sondażach. Ale tak się może stać tylko wtedy, jeśli Kaczyński pohamuje swoje rutynowe polityczne wybryki, nie będzie specjalnie obrażał, insynuował, nie zacznie wygłaszać niestworzonych rzeczy na temat zamachu, Rosji, Niemiec i w ogóle polityki zagranicznej.

W plan uspokajania wizerunku PiS wpisała się poniedziałkowa debata ekonomistów nad programem gospodarczym tej partii. Wydaje się, że spełniła ona marketingowe cele, jakie zakładano. Kaczyński pokazał się w towarzystwie wielu profesorów i doktorów, z których część pozytywnie oceniła niektóre punkty jego „alternatywnej" ekonomii. Krytycy nie byli zbyt dokuczliwi, a, tak czy inaczej, wiele mówiono – i z lewicowego, i z liberalnego punktu widzenia – o złej sytuacji kraju i większej lub mniejszej za to odpowiedzialności rządu Tuska. Stosunkowo niewiele natomiast było o samym programie PiS. Typowym schematem debaty była rozmowa o podatkach, kiedy to niemal nikt nie bronił systemu, który obowiązuje, ale też nie optował specjalnie za tym, co proponuje PiS (np. połączenie podatków CIT i PIT). W efekcie debata przekształciła się w seminarium, gdzie padało dużo pytań, ale mało konkretnych odpowiedzi. Temperatura była dość letnia i o to też Kaczyńskiemu chodziło, miał być spokój, troska, powaga, naukowa terminologia. Debata wyglądałaby zapewne zupełnie inaczej, gdyby Kaczyński zaprosił na nią ministra Rostowskiego, ale prezes PiS tego błędu – ze swojego punktu widzenia – nie zrobił. Wtedy by stracił, a tak wyszedł na swoje, nawet jeśli poparcie dla propozycji PiS nie było tak znaczące, jak może przewidywał. Ale debata to i tak tylko jeden z przystanków na drodze do pokonania Tuska.

Prawica uwierzyła, że sprawa Amber Gold, po raz pierwszy od pięciu lat, nadkruszyła teflon, który pokrywał dotąd Tuska, bo chodzi i o syna, i o Gdańsk. Teraz trzeba tylko to pęknięcie pogłębiać, rozwiercać ranę. Taka okazja na dopadnięcie Tuska może się już nie powtórzyć. Stąd sekwencja zdarzeń: Amber Gold, tzw. exposé Kaczyńskiego, debata ekonomiczna, ekshumacje (wyniki badań DNA mają być ujawione przed demonstracją), sobotni marsz jako jedna z kulminacji, konwencja w Pałacu Kultury, potem konferencja naukowców w sprawie Smoleńska. I wreszcie głosowanie nad wotum nieufności dla Tuska.

Do tego – jak słychać w PiS – mogą dojść ponowne uroczyste pochówki już poprawnie zidentyfikowanych ofiar Smoleńska. To wygodniejsza broń, bo teoria zamachu jest wciąż kontrowersyjna, a niewłaściwe ciała w przysłanych z Rosji trumnach to oczywisty skandal. Reszty ma dokonać kryzys gospodarczy, bezrobocie, likwidacja części szkół, szpitali, sądów, wyhamowanie inwestycji, autostrady w szczerym polu.

Rośnie więc po prawej stronie nadzieja, że jesienią tego roku może w Polsce dojść do przesilenia politycznego (widocznego w sondażach), a potem pozostanie odliczanie do gwarantowanej porażki Tuska w wyborach, terminowych czy przyspieszonych.

Rzeczywiście, w normalnych warunkach konkurencji politycznej, taka nadzieja byłaby uzasadniona. Nawet najbliżsi przyjaciele Platformy mówią o jej zużyciu, wypaleniu, o błędach, o trudnościach obiektywnych i winach subiektywnych. Rzecz w tym, że PiS, żeby wejść realnie do tej konkurencji, musiałby zdobyć w społecznym odbiorze status rzeczywistego zmiennika Platformy – sprawniej zarządzającego w trudnych czasach, a nie rewolucyjnego zadymiarza. Z tego względu sobotni marsz jest dla Jarosława Kaczyńskiego ważną próbą sił i wizerunku.

Swoje w marszu chce też ugrać przewodniczący Solidarności Piotr Duda. Chociaż deklaruje, że nie zamierza wchodzić w politykę, w jego otoczeniu nie brak związkowców, którzy chętnie rozpoczęliby polityczne kariery. Duda nie jest skonfliktowany z Kaczyńskim, ale też nie jest mu podległy, a zatem pozostaje dla prezesa potencjalnym przeciwnikiem. Jeśli związek zorganizuje odpowiednio wysoką frekwencję, Solidarność będzie mieć mandat, aby odgrywać większą polityczną rolę niż dotąd. I stanąć wobec PiS jako równoprawny gracz.

Wejście Solidarności do marszu nie zaskakuje, jest logiczną konsekwencją obranego już wcześniej kursu, jednak stanowi niejaką nowość. „Panna S" przelicytowuje politycznie opozycyjną lewicę i obsadza się w roli głównego reprezentanta interesów elektoratu, oczekującego pomocy i świadczeń ze strony państwa.

Dlatego efekt społeczny marszu jest ważny także dla Millera i Palikota, którzy zdają się rutynowo wstrzymywać ze swoimi inicjatywami i hasłami na 1 maja przyszłego roku. Ale wtedy może być już pozamiatane.

Wreszcie marsz jest bardzo ważny dla ojca Rydzyka, którego akcje powoli spadają. Rydzyk od pewnego czasu gra powyżej tego, co ma w kartach. Ani nie jest już tak silny w episkopacie, ani nie ma takiego wpływu na PiS, a alternatywa w postaci ziobrystów, którymi mógłby trzymać w szachu Kaczyńskiego, nie wypaliła. Dla niego masowość marszu, który w pierwotnych założeniach miał wspierać jego Telewizję Trwam, byłaby potwierdzeniem, że wciąż trzeba się z nim liczyć. Sygnałem wysłanym do PiS, ale może jeszcze bardziej w kierunku hierarchii.

Dla Zbigniewa Ziobry, który szuka nowego napędu dla swojej Solidarnej Polski, marsz to szansa na mocniejsze podwiązanie się pod Solidarność. Ziobro spotkał się z Dudą w styczniu, kiedy to przewodniczący związku zadeklarował, że gotów jest współpracować z każdym ugrupowaniem, które „dostrzega bardzo ważne problemy społeczne i stara się wspierać działania związku zawodowego pod tym kątem".

SP zbierała dla Solidarności podpisy pod protestem w sprawie reformy emerytalnej, przedstawiła też bardzo socjalny, konkurujący pod tym względem z PiS, program partii. W marcu Duda był gościem na kongresie ziobrystów. Stał też obok szefa SP podczas jednej z pielgrzymek. Ziobro ma nadzieję, że uda mu się ten alians, także dlatego, że Duda nie będzie się obawiał politycznej kurateli, jak to mogłoby się wydarzyć w przypadku partii Kaczyńskiego (co pokazał przypadek poprzedniego przewodniczącego związku Janusza Śniadka, dzisiaj posła PiS). A poparcie Solidarności w czasie kampanii prezydenckiej byłoby dla Ziobry bezcenne.

Wiele będzie jednak zależeć od tego, ile osób przyjdzie na sobotnią demonstrację. Jeśli marsz ma wstrząsnąć polską polityką, uczestników musi być znacznie więcej niż na dotychczasowych manifestacjach. Nikogo nie wzruszy 10 tys. Ale już 20 tys. byłoby umiarkowanym sukcesem, choć na granicy ambitnej porażki. Za to 50 tys. stałoby się nową jakością, a przy 100 tys., na co podobno liczą organizatorzy, marsz przeszedłby do legendy (jak na warunki polskie, rzecz jasna) i mógłby wpłynąć na nastroje, gdyż okazałoby się, że niezadowolonych z rządu, a zarazem chętnych demonstrować, jest więcej, niż można by przypuszczać.

Powstaje tu jednak dla taktyków PiS pewna trudność. Jak skomponować treść tej manifestacji, by była ona jednocześnie stara i świeża, by była patriotyczna, niepodległościowa i katolicka, a zarazem – chciałoby się powiedzieć – socjalistyczna w treści. Ile Smoleńska, ile TV Trwam i Matki Bożej, a ile miejsc pracy, zasiłków i dopłat? Ile Kaczyńskiego, ile Dudy, ile Rydzyka? Każdy z triumwirów będzie miał okazję policzyć i pokazać swoje legiony. Bo to jest wspólny marsz przeciw wrogowi i przeciw sobie. ■

© AFP/EAST NEWS

Na „królewską” pozycję zapracowała cała rodzina Kwaśniewskich.

Tęsknota za dynastią

Może to nie był „polski ślub stulecia”, jak głosiły w sobotę rano tabloidy, ale na pewno ważne wydarzenie nie tylko towarzyskie, wiele mówiące o naszych czasach.

ZDZISŁAW PIETRASIK

Zdjęcia, które wkrótce po uroczystości można było zobaczyć w Internecie, nie pozostawiały wątpliwości. Ślub w katedrze polowej, z asystą wojskową przy ołtarzu, w obecności wielu najsławniejszych i najbogatszych obywateli III RP w kościele i nieprzebranych tłumów gapiów na zewnątrz, był rzeczywiście wyjątkowy. Skojarzenia z arystokratycznymi ożenkami brytyjskich rodzin wprost rzucały się w oczy. Wprawdzie wcześniej odbywały się śluby w polskich rodzinach arystokratycznych, i to w najzacniejszych familiach dawnej Rzeczpospolitej, lecz nie budziły podobnego zainteresowania. Jak to zatem się stało, że prezydentówna Aleksandra mianowana została naszą swojską księżniczką, a jej rodzice zyskali honorowy status królewski?

Nie od dziś wiadomo, że mamy wrodzony pociąg do arystokracji, i to bez względu na pochodzenie społeczne. Nie przypadkiem jednym ze wstydów założycielskich nowego parlamentaryzmu w Polsce była prowokacja pewnej pani podającej się za Anastazję Potocką. Na sam dźwięk skradzionego nazwiska otwierały się przed nią wszystkie drzwi, także ponoć do sypialni niektórych posłów. To był jednak tylko folklor. Jak się miało okazać, do powszechnego wyobrażenia o współczesnym człowieku z lepszych sfer idealnie dopasował się dawny młodzieżowy działacz i odnowiciel lewicy Aleksander Kwaśniewski.

Co przesądziło o tym, że były członek „partii robotniczej”, stał się prototypem demokratycznego arystokraty, w pewnym sensie także założycielem (medialnej) dynastii? Po pierwsze, nie miał arystokratycznego pochodzenia, co w tym wypadku było atutem. Mimo atencji dla historycznych nazwisk, raczej nie życzylibyśmy sobie, aby potomek jakichś Radziwiłłów, Lubomirskich czy Sapiehów stał się osobą numer jeden w Polsce. Lata demokracji ludowej przeorały naszą wyobraźnię i świadomość.

Tymczasem Kwaśniewski stał się trochę gombrowiczowską figurą arystokraty ludowego, wyniesionego na tron społecznego uznania z woli samych wynoszących. Wykształcony, ale nieprzesadnie (afera z brakiem dyplomu), obracający się w sferach najwyższej władzy, ale zarazem swój chłop, taki, co to i wódki się napije, jak jest sposobność, i na mecz pójdzie. W czasach swej prezydentury Kwaśniewski miał parę „nieszczęśliwych przypadków”, a jego oponenci nie mogli pojąć, że po każdym takim incydencie poparcie ludu nie maleje, ale wręcz przeciwnie, jeszcze wzrasta. Po prostu Kwaśniewski w niemal doskonałym stopniu wpisał się w ludowe wyobrażenie o dobrym władcy i nic mu nie mogło zaszkodzić.

Ale zarazem Kwaśniewski doskonale zaspokajał tęsknotę rodaków za pewnym typem sprawowania władzy, w niczym bowiem nie przypominał tła kłócących się nieustannie polityków. Polacy, z natury dość kłótliwi, nie znoszą widoku biorących się za łby przedstawicieli władzy. Nawet ostre debaty sejmowe im nie w smak, w czym może niekoniecznie wyraża się tęsknota za czasami, gdy w Sejmie była zgodność stuprocentowa w każdej kwestii. Kwaśniewski zapewniał spokój i przewidywalność, potrafił konflikt z Leszkiem Millerem nazwać „szorstką przyjaźnią”, i w ogóle unikał sądów ostrych. Podobać się mogło również to, że z dużą swobodą odnajdywał się w międzynarodowym towarzystwie.

Jak pamiętamy, drugie wybory prezydenckie wygrał w pierwszej rundzie, a gdyby nie zapisy konstytucyjne, pewnie pokonałby rywali w kolejnych wyborach, i niewykluczone, że panowałby nam łaskawie do dziś. O czym świadczy choćby niedawny, przeprowadzony przez tygodnik „Wprost”, ranking kandydatów na przyszłego premiera RP, w którym bezrobotny „król bez korony” zajął pierwsze miejsce.

Na „królewską” pozycję zapracowała zresztą cała rodzina Kwaśniewskich, czego nie można by powiedzieć ani o poprzedniku, ani o następcach dwukrotnego prezydenta III RP. Lech Wałęsa mógł być królem-lwem tylko w „Polskim zoo” (był w telewizji taki seryjny program rozrywkowy). Pozostał ostentacyjnie plebejski, co inteligencję do pewnego czasu zachwycało, ale „lud” zupełnie inaczej wyobrażał sobie pierwszą osobę w państwie. Nie wspierała go żona (ostatnio wręcz się publicznie od Lecha zdystansowała), a o synach media informowały głównie z powodu wpadek i wypadków.

Wydawać się mogło, że familijną potęgę stworzy Bronisław Komorowski, ale mimo że pochodzi z arystokratycznej rodziny (a może właśnie dlatego?), wybrał swojski sposób bycia. Zrezygnował nawet z polowania, tej odwiecznej przy-

jemności arystokratycznej. (A czy można sobie w ogóle wyobrazić Kwaśniewskiego idącego ze strzelbą na dziki?). Kiedy Komorowski gościł ostatnio na Ukrainie, tamtejsi dziennikarze zwrócili uwagę, że ma na ręku zwyczajny zegarek za kilkaset polskich złotych, podczas gdy prezydent Janukowycz prezentował czasomierz kilkadziesiąt razy droższy. Nic nie wiemy o prezydenckich dzieciach. Pani Komorowska nie narzuca się, raczej cały czas w tle, w wywiadach opowiadała nieraz o kuchni i gotowaniu, co Jolancie Kwaśniewskiej chyba nigdy się nie zdarzyło. Za to była Pierwsza Dama wydała poradnik „Lekcja stylu", w telewizji zaś uczyła rodaków dobrych manier, np. jak należy jeść bezy, co w słynnym nagraniu wyśmiewał Józef Oleksy.

Kwaśniewscy lepiej podzielili się rolami, wykorzystując do tego media, zwłaszcza te masowe, rozkwitające w czasie drugiej prezydenckiej kadencji. A może było odwrotnie? To owe media potrzebowały na gwałt nowej krajowej celebryckiej „dynastii", by mieć kim zapełnić kolorowe okładki.

Prasa kolorowa najszczęśliwsza jest tam, gdzie panuje monarchia, np. w Wielkiej Brytanii, a co pewien czas ktoś z królewskiej rodziny dostarcza tematu do plotkarskich artykułów. U nas też powstało takie zapotrzebowanie i Kwaśniewscy, chcąc nie chcąc, musieli grać przypisaną im rolę. Pani Jolanta z oddaniem grała więc rolę „matki wszystkich Polaków": w czasie publicznych wystąpień w jej głosie czuło się afektację, ale zarazem szczerą chęć służenia potrzebującym; stworzyła doskonale prosperującą fundację charytatywną. Z mężem różnią się nawet w kwestiach światopoglądowych i wyznaniowych. Ona katoliczka, on – agnostyk, cokolwiek to może znaczyć.

Wreszcie córka Aleksandra, współczesna dziewczyna, z ofiarowanym statusem gwiazdy, czego potwierdzeniem był występ w programie rozrywkowym „Taniec z gwiazdami". Ale prezydentówna potrafiła jednocześnie zaprezentować się jako zwyczajna, współczesna dziewczyna, z problemami, jakie przeżywa wiele jej rówieśniczek. Po dobrych studiach, lecz – jak to dzisiaj się często zdarza – bez konkretnego zawodu, więc próbuje sił w dziennikarstwie.

Podobną drogą, co „księżniczka" Aleksandra, starała się iść córka Donalda Tuska, ale nie miała w tej konkurencji szans, i chyba ostatecznie zmieniła strategię. Podobnie jak trudno sobie wyobrazić, by status Kwaśniewskiego starał się uzyskać jej ojciec. Premier z natury swego urzędu nie nadaje się do roli celebryty, a ci, którym o tym w porę nie powiedziano (casus Marcinkiewicz), tracili bezpowrotnie powagę, władzę zresztą też.

Tak się złożyło, że wystawne wesele prezydentówny, ślubującej wierność muzykowi Kubie Badachowi, synowi prezesa zarządu Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Krasnymstawie, odbyło się w czasie, kiedy na łamach kilku gazet toczy się dyskusja o polskiej klasie plebejskiej. Zapoczątkował ją artykuł Janusza Majcherka w „Gazecie Wyborczej", czyli autora bynajmniej nie o hrabiowskim nazwisku, który zarzucił chłopom (a w domyśle – pewnie także ich potomkom), że hamują postęp i opóźniają proces integracji z Europą. Tylko Anna Tatarkiewicz, niestrudzona admiratorka polskiej wsi, musiała wziąć Ślimaka w obronę. Większość czytelników zapewne stanęła po przeciwnej stronie. Także ci, mający chłopskie korzenie. Paradoksalnie, największy sentyment do szlachty i arystokracji mają u nas bowiem wywodzący się z warstw najniższych.

Również z tych powodów wesele prezydentówny dużo mówi o naszych czasach, obyczajach i o nas samych. Kto wie, może to byłby nawet temat na nowe „Wesele"? Gdyby na liście zaproszonych znalazł się jakiś Wyspiański.

Tekst o ślubie roku – s. 91.

REKLAMA

Kredyt dla wolnych zawodów

TWÓJ BIZNES ROZWIJA SIĘ SZYBCIEJ NIŻ MYŚLISZ?
SIĘGNIJ PO KREDYT INWESTYCYJNY!

Promocyjna oferta kredytowa dla przedstawicieli wolnych zawodów to szansa dla przedsiębiorców, którzy chcą zainwestować w rozwój swojej firmy. Myślisz o zakupie, budowie, bądź modernizacji nieruchomości?

Nie ograniczaj się! Weź kredyt inwestycyjny, który pozwoli Ci na więcej:
- **0% prowizji***
- **kredyt do 1,2 mln zł**
- **decyzja w 24h**
- **minimum formalności**

O szczegóły zapytaj w placówkach banku lub zadzwoń:
801 180 801, 22 549 99 99**

* Promocja trwa do 31.10.2012 r. Szczegóły na www.raiffeisen.pl
** Koszt połączenia wg taryfy operatora.

www.raiffeisen.pl

Raiffeisen BANK
Raiffeisen Bank Polska S.A.